

TEMATY TYGODNIA

- 12 Jagienka Wilczak
Czy warto umierać za Donbas
- 14 Mariusz Janicki, Wiesław Władyka
Rozkręcanie kampanii pozorów
- 16 Zdzisław Pietrasik
Spór o „Idę”

OGLĄD I POGLĄD

- 20 Robert Krasowski
To nie jest świat dla wielkich przywódców

SPOŁECZEŃSTWO

- 24 Joanna Podgórska
Seksolatki z paragrafem w tle
- 27 Rozmowa z psychologiem **Jackiem Santorskim** o tym, jak działa infamia
- 30 Ryszarda Socha
Słupsk: czy pryśnie czar Roberta Biedronia?
- 32 Agnieszka Sowa
Wadowice: jak w papieskim mieście radzi sobie ateista?
- 34 Ewa Wilk
Czarne listy złych pracodawców
- 37 Marta Mazuś
Uciekli z Ukrainy – jak im się żyje w Polsce

RYNEK

- 40 Joanna Solska
Traktory na wypasie
- 44 Urszula Szyperka
Skąd tyle samowoli budowlanych
- 48 Jacek Rostowski
OGLĄD I POGLĄD
Raport z zielonej wyspy

ŚWIAT

- 50 Adam Krzemiński NIEMCY
Kanceler Merkel trzyma Europę
- 54 Tomasz Maćkowiak CZECHY
Pół-Japończyk walczy o czystość czeskiego narodu
- 57 Tomasz Zalewski USA
Multikulti po amerykańsku



14 **Udawana kampania**



24 **Przysposobienie do życia w celibacie**



40 **Traktory i bajery**



100 **Porno Coelho, czyli prawdziwa twarz Greya**

HISTORIA

- 60 Artur Domoślawski
Życie po życiu Malcolma X
- 64 Tomasz Kozłowski
Tajna operacja polsko-izraelska

NAUKA

- 68 Andrzej Hołdys
Polityka wysp koralowych
- 72 Agnieszka Krzemińska
Co mówią o nas robaki

KULTURA

- 80 Kreator Kultury
Agnieszka Holland o marginalizowaniu twórców w Polsce
- 83 KAWIARNIA LITERACKA
Krzysztof Siwczyk
- 84 Piotr Sarzyński
Jaką sztukę kupują Chińczycy
- 88 Justyna Sobolewska
Magdalena Parys opowiada Niemcom historię
- 91 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

LUDZIE I STYLE

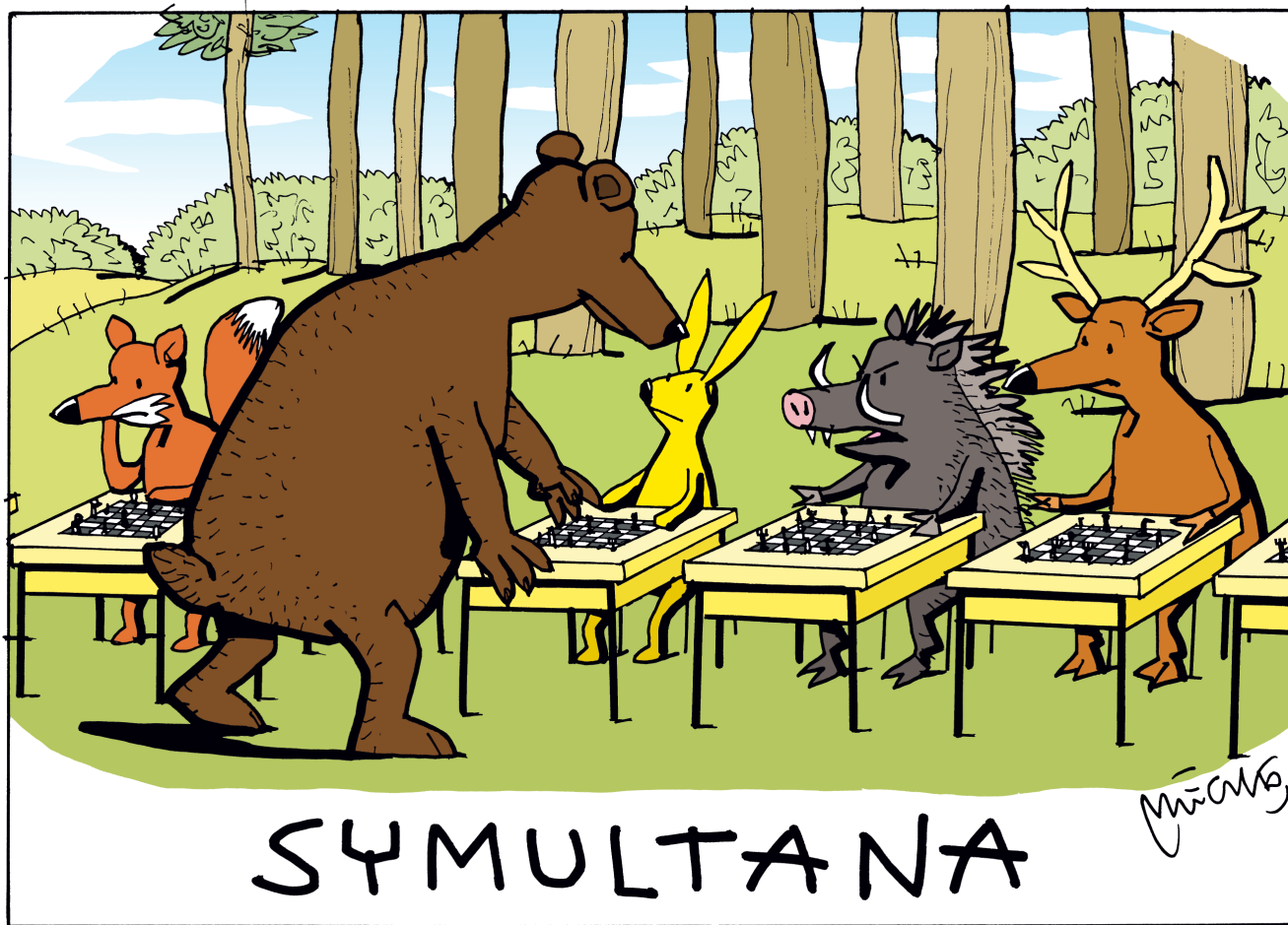
- 92 Mariusz Herma **This. – lepszy Facebook?**
- 96 Marcin Piątek
Crossfit: trenuj, aż padniesz
- 100 Aleksandra Żelazińska
„Pięćdziesiąt twarzy Greya”: softporno w stylu Coelho

NA WŁASNE OCZY

- 108 Joanna Leszczyńska, fotografie
Anna Musiałówna
Poczta superojców

STAŁE RUBRYKI

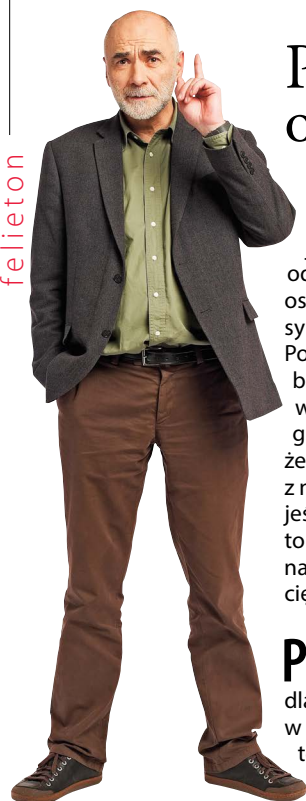
- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 76 Afisz • 103 Do i od redakcji
- 104 Stomma • 105 Tym
- 106 Passent • 107 Fusy
- 114 Polityka i obyczaje



SYMULTANA

www.mleczeko.pl

felieton



4

sławomir mizerki z życia sfer

Polska od nowa

Z badań CBOS wynika, że Polakowi żyje się coraz lepiej, jego optymizm rośnie, a on sam odczuwa rosnącą dumę z własnych osiągnięć. Ale jak się okazuje, sytuacja ta dotyczy przeciętnego Polaka występującego w badaniach, bo konkretny Polak występujący w życiu twierdzi, że niczego takiego nie odczuwa. Polak ten narzeka, że ma nieustannie do czynienia z nabrzmiałymi problemami i nawet jeśli w życiu nie jest mu najgorzej, to nie jest mu także najlepiej, a już na pewno nie tak dobrze jak przeciętnemu Polakowi w badaniach.

Prawda jest taka, że wszyscy Polacy nie mogą mieć wszystkiego, dlatego aby przeciętny Polak mógł w badaniach posiadać samochód, telewizor plazmowy albo zmywarkę, wielu Polaków w konkretnym

życiu będzie musiało sobie o tym tylko pomarzyć. Nic dziwnego, że pływający się w optymizmie i samozadowoleniu przeciętny Polak nie wie, w jakim kraju żyje. Nie widzi choćby tego, że państwo się rozpada, a sytuacja jest katastrofalna, czego dowodem jest kandydat Duda na prezydenta, który był kandydatem dosyć wyciszonym, ale ze względu na pogarszającą się sytuację bardzo się ostatnio przed kamerami pobudził, zaczął wymachiwać rękami i stał się jakiś nieswoj. Podejrzewam, że bardzo go zdenerwowało wmawianie konkretnym Polakom, że Polska się rozwija i wszystko jest w niej OK, chociaż każdy widzi, że – jak stwierdził prof. Legutko z PiS – w III RP z przemysłu rozwija się jedynie „przemysł ideologiczno-propagandowy do deklarowania, że III RP jest OK”.

Że sytuacja jest daleka od OK, nie kryje kandydatka Ogórek, która otwarcie przyznaje, iż są siły, które nie chcą jej wpuścić do polityki, dla-

tego że nie jest z salonu tylko „z niebogatemu domu”. I to jest skandal, bo uważam, że w polityce powinno być miejsce także dla osób z takich domów – osób, które o salony się jeszcze nie otarły, ale bardzo by chciały. Zresztą jestem pewien, że to tylko pretekst, a tak naprawdę te siły się pani Ogórek zwyczajnie boją, tak jak i pana Dudy, którego do polityki nie wpuszczają się pod wątpliwym pretekstem, że nie ma miejsca, bo już jeden Duda w polityce jest i gdyby było dwóch, kraj by tego nie wytrzymał.

Dlatego nie dziwię się zdenerwowaniu pani Ogórek, która grozi, że zbuduje Polskę od nowa, napisze prawo od nowa, a jak będzie musiała, to zadzwoni do Putina, a ze starych rzeczy zostawi tylko te, które się sprawdziły, tzn. Kościół i Leszka Millera. Chociaż nie wiem, czy ten ostatni jednak nie będzie do wymiany, bo słyszałem, że po ostatnich wystąpieniach pani Ogórek osłabł i z trudem za nią nadąża.

Hello Tomorrow



Nie przegap okazji

Skorzystaj ze specjalnych cen na rejsy do wybranych miejsc na świecie, rezerwując lot do 5 marca 2015.

CEL PODRÓŻY	KLASA EKONOMICZNA JUŻ OD*	KLASA BIZNES JUŻ OD*
Bangkok	1965 zł	7810 zł
Delhi	1825 zł	7245 zł
Dubaj	1815 zł	7925 zł
Malediwy	2470 zł	10 665 zł
Phuket	2170 zł	7865 zł



Bezpłatny dostęp do internetu w wybranych samolotach

* Obowiązują „Ogólne warunki przewozu”. Rezerwacje do 5 marca na podróż w okresie między 6 kwietnia a 24 czerwca 2015. Podróż musi zakończyć się do 10 lipca 2015. Odwiedź stronę emirates.com/pl, aby poznać wszystkie warunki oferty.



© DARIUSZ BOROWICZ/AGENCJA GAZETA

Objazd procedur

Pożar mostu Łazienkowskiego w walentynki postawił miasto przed trudnym pytaniem: możliwie szybko usunąć skutki zniszczeń i otworzyć przeprawę, czy też jednak zamknąć ją na dłużej i wreszcie porządnie odnowić, bo sypie się i bez pożarów? Dziś wiadomo: szkody okazały się na tyle poważne, że naprawy nie wystarczą. Do tej pory kolejne władze miasta nie podejmowały decyzji o dłuższym zamknięciu przeprawy ze strachu przed paraliżem stolicy i wściekłością kierowców. Tymczasem działający od 1974 r. most Łazienkowski, którym ostatnio jeździło ok. 100 tys. pojazdów na dobę, od dawna wymagał generalnego remontu, ale przechodził tylko doraźne naprawy, które miały go uchronić przed zawaleniem.

Udało się wyremontować boczne estakady i w ostatnie wakacje wymienić nawierzchnię, która teraz, po pożarze, przypomina senny koszmar drogowca.

Tylko jak wymienić całą konstrukcję mostu i nie utonąć w procedurach przetargowych? Miasto liczy, że powiatowy inspektorat nadzoru budowlanego nakaże natychmiastowe zabezpieczenie mostu po pożarze. Wówczas można by wykorzystać art. 67 prawa zamówień publicznych, który umożliwia zlecenie prac wybranej firmie z wolnej ręki, bez przetargu. Tak zrobiła Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad, żeby dokończyć autostradę A2 między Łodzią a Warszawą przed Euro 2012, gdy z budowy wyrzucono chiński koncern budowlany Covec. Tryb z wolnej ręki oznacza w praktyce, że miasto wyśle pytania do kilku firm, porozmawia z nimi o cenie, a następnie

wyberze jedną i podpisze umowę. Wybór szybszej ścieżki bezprzetargowej można by łatwo uzasadnić w przypadku ograniczonych prac. Jednak stolica zdecydowała się na wymianę całej konstrukcji, co ma kosztować ponad 100 mln zł. Można się zatem obawiać, że firmy, które nie dostaną zamówienia, poskarżą się w Krajowej Izbie Odwoławczej, a nawet pójdą do sądu. Spróbują udowodnić, że należało zorganizować normalny przetarg, który trwałby wiele miesięcy, i nie są tu z góry skazane na porażkę. Warszawiacy mogą mieć nadzieję, że zatrudnieni przez ratusz prawnicy będą potrafili skutecznie odeprzeć takie argumenty, ale czas i tak będzie uciekał. Nie mówiąc już o tym, że polskie prawo przetargowe, pozwalające w nieskończoność przewlekać procedury, od lat prosi się o gruntowną naprawę. Jak spalony most. **(C.K.)**

Upadek idola



Mariusz Janicki

komentarz

Jarosław Kaczyński demonstracyjnie nie chciał się spotkać z premierem Węgier Viktorom Orbánem, kiedy ten odbywał rządową wizytę w Warszawie (choć, zdaje się, Orbán też nie zamierzał). Tak czy inaczej w ten sposób najwyraźniej kończy się węgierska przegródka polskiej radykalnej prawicy. Przez ostatnie lata Orbán (i jego Fidesz) był dla PiS idolem i wzorem. Do naddunajskiej stolicy odbywały się regularne pielgrzymki poparcia, powstawały panegiryczne książki, wszyscy czekali na drugi Budapeszt. Orbán szalenie imponował wysokim wyborczym zwycięstwem, pozwalającym na dowolne zmiany w prawie i konstytucji, potyczkami z Unią Europejską, konfliktami z tamtejszym trybunałem konstytucyjnym, bankami i sieciami hipermarketów. Także beceremonialnym traktowaniem sędziów, lansowaniem „wielkowęgierskiej” polityki historycznej, wprowadzaniem swoich ludzi do wszystkich instytucji państwa, w tym do świata kultury, mediów.

Polityka Orbána była więc dla PiS spełnionym snem o zwycięskiej IV RP. Ale Orbán nie sprawdził się w kwestii rosyjskiej. Zaczął flirt z Władimirem Putinem i to w dodatku w najbardziej dla pisowskiej prawicy newralgicznej sprawie – polityki energetycznej. Teraz nagle PiS głosi, że Orbán łamie solidarność europejską. Kiedy wcześniej węgierski premier szedł na liczne wojenki z Unią,

było to dla partii Kaczyńskiego powodem do chwały. Politykom PiS zabrakło jednej zasadniczej refleksji: nie widzą związku pomiędzy polityką wewnętrzną Orbána i jego międzynarodowymi relacjami. Nie dostrzegają wspólnych cech węgierskiego premiera i prezydenta Putina, ich w sumie podobnego (choć oczywiście nie identycznego) stosunku do demokracji, przywództwa. Jakby nie zauważali, że w polityce Orbána relacja z Putinem nie jest wybrukiem ani tylko taktyczną zagrywką węgierskiego premiera, ale naturalną konsekwencją systemu państwowych wartości, jakie wyznaje. Jeśli Orbán był absolutnym wzorem dla Kaczyńskiego, może to znaczyć, że PiS nie podziwia Putina tylko z powodu silnej, płynącej z historycznych korzeni, rusofobii. Ale już turecki premier, również na bakier z liberalną demokracją, z Putinem się nie afiszuje – dlatego Turcja powoli zaczęła zastępować w przekazie PiS Węgry.

Prawica od pewnego już czasu nie bardzo wiedziała, co zrobić z tym zbliżeniem Węgier i Rosji, pojawiały się sugestie, że to Bruksela wepchnęła Budapeszt w ręce Moskwy, że Orbán dba przede wszystkim o interesy swojego narodu i należy to uznać za przejaw patriotyzmu. Ale ta argumentacja ostatecznie się załamała i teraz Orbán jest tym złym. Zaczęła się za to kuriozalna akcja wciskania Orbána w ręce Platformy i premier Kopacz. To ona ma się teraz tłumaczyć, że z Orbánem się spotkała i cokolwiek ustalała, i zapewniać, że szef węgierskiego rządu usłyszał od niej w sprawie energetyki, co trzeba. „Koledzy z PO i PSL, weźcie sobie Orbána razem z jego zgubną prorosyjską polityką” – napisał jeden z europosłów PiS, dając do zrozumienia, że w przypadku Kopacz i Orbána trafił swój na swego. Wydawało się, że PiS po tylu latach nie może już niczym zaskoczyć, ale okazuje się, że wciąż potrafi swoim tupetem wprawić w osłupienie. Pytanie, jak długo jeszcze na tych zakrętach będą wyriać się wyborcy tej partii?

Salon odrzuconych



Przekonanie, że wybory prezydenckie wygra urzędujący prezydent, jest tak powszechne, że aż niebezpieczne. Jeżeli i tak wygra, to po co się fatygować do urn? Zadaniem sztabu jest więc mobilizacja zwolenników i niech sztab się stara, omijając jednak Twittera, bo Bronisławowi Komorowskiemu z ćwierkaniem wyjątkowo nie do twarzy. Główne jednak pytanie brzmi, czy prezydent wygra w pierwszej czy w drugiej turze? Panuje przekonanie, że prawdziwym zwycięstwem byłaby wygrana w pierwszej. Można się jednak zastanawiać, czy lepiej wygrać minimalną przewagą w pierwszej, co przy mnogości kandydatów zdarzyć się może, czy wielką przewagą w drugiej? Wysokie zwycięstwo jest bardziej efektowne. Ale jeśli przewaga nie byłaby miażdżąca, bo znów np. zwycięży niechęć do chodzenia na wybory, to może jednak warto powalczyć o zakończenie zmagania w pierwszym terminie?

Mimo wszystko w kwestii, kto zostanie prezydentem, mamy właściwie jasność z pewnymi drobnymi niejasnościami. Nie ma natomiast żadnych wątpliwości, kto jest najbardziej przegrany w tej rywalizacji. Tu rozstrzygnięcia zapadły i konkurencję wygrał zdecydowanie Ryszard Kalisz, który niewątpliwie ma kwalifikacje i doświadczenie w zdecydowanie większe niż każdy z pozostałych kandydatów, przegrał ze wszystkimi i z samym sobą też. Nie poparł go Sojusz Lewicy Demokratycznej, bo poseł robił wszystko, aby go z tej partii wyrzuciono, a Sojusz zdrójcom bardzo rzadko wybacza. Stowarzyszenie, które Kalisz założył, Dom Wszystkich Polska, okazało się w gruncie rzeczy niewielkim pokoikiem, którego nikt nie chciał odwiedzać. Wszystkie rozmowy o zjednoczeniu lewicy, tej spoza Sojuszu, jakie podobno intensywnie prowadziły, zakończyły się fiaskiem, lewica jest akurat w fazie dzielenia się, a nie łączenia. Każdy chce być liderem, każdy startuje oddzielnie, oczywiście „gromadząc kapitał na przyszłość”. Na koniec porzuciła Kalisza nawet feministki oraz środowiska mniejszości seksualnych, choć tak aktywne, i z właściwym sobie wdziękiem, brał udział w Paradach Równości. Feministki oraz mniejszości postawiły na Wandę Nowicką, która ostatecznie została zgłoszona do wyborów jako kandydatka Unii Pracy. Partia ta jest bardzo ciekawym tworem politycznym, objawiającym się głównie w okresach wyborczych, kiedy

to albo zawiązuje z kimś koalicję, albo ją rozwiązuje. Niedawno rozstała się z SLD, nie chcąc popierać dr Magdaleny Ogórek, i postawiła na Nowicką (niezrzeszona, wcześniej w Twoim Ruchu Palikota). Unia Pracy apeluje o jednoczenie się mniejszych partii lewicowych, zwłaszcza do PPS, ale też do Europy Plus Roberta Kwiatkowskiego. Jak się okazuje, takie ugrupowanie nadal istnieje, co świadczy, że liczba lewicowych (?) sztydów jest praktycznie nieograniczona.

Ryszard Kalisz, rzucając ręcznik na ring, nazwał to wszystko tragifarsą, w której on nie będzie brał udziału. Ja powiedziałabym, że oto kończy się najciekawszy etap wyborów prezydenckich, taki bardziej romantyczny. To czas podejmowania nieracjonalnych decyzji, gry ambicji i wielkich nadziei, że przynajmniej wykorzysta się czas w mediach na promocję. Teraz zaś nadchodzi czas nieefektownego zbierania podpisów, wydawania pieniędzy (często z kredytów, które przyjdzie spłacać po wyborach, nierefundowanych z budżetu), sondażowych rozczarowań, wymyślenia programów, których praktycznie nikt nie czyta, choć wszyscy wołają, że debata jest merytorycznie pusta, i hasel, najczęściej niezbyt trafionych. I tak będzie do końca marca, kiedy okaże się, kto zebrał ile podpisów i kto ostatecznie wystartuje.

Na razie „merytorycznie” przerabiamy stałe elementy gry, czyli debatę o debacie, oceny kolejnych spotów, głównie autorstwa PiS, gdzie Bronisław Komorowski przedstawiany jest jako starszy, nieruchawy pan przysypiający na ważnych obradach i klepiący banały. Wiadomo, że przed ewentualną drugą turą prezydent Komorowski nie ma powodu, aby z kimkolwiek debatować. To nowi kandydaci mają się przedstawiać wyborcom, ale nowi nie chcą rozmawiać między sobą, gdyż trudno im ustalić hierarchię ważności. Debata z prezydentem każdego nobilituje. Z bezpośrednim rywalem mogłaby zaburzać wstępnie ustaloną hierarchię, być trudniejsza. Zresztą debata o debatach jest bezpieczniejsza od prawdziwego debatowania o wiele mniej. Wysłać broń na Ukrainę czy nie wysłać? To dziś prawie podstawowe pytanie, którym dręczony jest każdy polityk, a co dopiero kandydat. Andrzej Duda już się na tej kwestii

potknął i obecnie jest zdecydowanie ostrożniejszy. Dziś chciałby, żeby po prostu w Polsce stała się „twarda struktura NATO”, co brzmi niezłe i sugeruje, że właściwie taka struktura rozwiązuje wiele bardziej szczegółowych problemów. Spotykać się z Putinem czy nie spotykać? – to kolejna kwestia, niezależna od tego, czy akurat Putin miałby ochotę spotkać się z którymś z kandydatów. Ledwie dr Ogórek oznajmiła, że ona by nawet do Putina zatelefonowała, już stała się obiektem kpin (wersja łagodna) lub przykładem narodowej zdrady (wersja radykalna). Dziś nawet nie wiadomo, czy można spotkać się z premierem Orbánem bez naruszenia podstawowych interesów Polski i całej europejskiej wspólnoty. I co ma zrobić stawiający w polityce pierwsze kroki kandydat, kiedy na Orbánie potknął się taki polityczny tuz jak Jarosław Kaczyński?

Prezes Kaczyński odmówił spotkania z premierem Orbánem, który pojawił się w Warszawie, by odebrać od organizacji biznesowej nagrodę Złotego Parasola (swoją drogą, nazwa nagrody wywołuje wiele ciekawych skojarzeń) i chciał się spotkać z panią premier Kopacz oraz podobno z prezesem Kaczyńskim. Kopacz się spotkała, Kaczyński nie. Odmowę szereko uzasadnił nieoceniony w takich sytuacjach poseł Błaszczak: prezes nie może spotkać się z kimś, kto spotyka się z Putinem. Tymczasem okazało się, że Orbán o spotkanie z Kaczyńskim w ogóle nie zabiegał. Chciał tylko z Kopacz, która zresztą potraktowała go surowo. Wizyta premiera Orbána wywołała w Polsce wielkie wzmożenie moralne i powszechne oburzenie. Premier Węgier został potępiony i tylko marszałek Sejmu Radosław Sikorski spokojnie, jak na byłego szefa dyplomacji przystało, przypominał, że niezależnie od oceny wizyty Putina w Budapeszcie, nie ma zakazu handlu z Rosją, Orbán ma prawo negocjować lepsze dla swojego kraju kontrakty i na razie żadnych sankcji ustanowionych przez UE nie naruszył. Kto wie, może nawet u nas wielu by tak chciało, ale oburzenie jest tak wielkie, że nawet mówić nie wypada. I tak oto prezydent Rosji odstawił Orbána do naszego rodzimego salonu odrzuconych. PiS straciło niedościgły wzór i wielkiego przyjaciela, a salon odrzuconych nabrał międzynarodowego wymiaru.

Zielone na złote



Adam Grzeszak

Po pięciu latach prac powstała wreszcie ustawa o odnawialnych źródłach energii (OZE). Walka grup interesów trwała do ostatnich sekund, bo ustawa rozdziela pieniądze, określając, kto ma ile zarabiać w ramach systemu dotowania zielonej energetyki. Bez dotacji OZE nie mogą na razie konkurować z tradycyjną energetyką węglową, a UE wymaga od nas, by coraz większa część energii pochodziła ze źródeł odnawialnych. Doprowadziło to w czasie sejmowych głosowań do spektakularnego konfliktu w koalicji PO-PSL. Większość klubu PSL zagłosowała wraz z opozycją za poprawką dotyczącą energetyki prosumenckiej, zgłoszoną przez posła Artura Bramorę (PSL), a przeciw wersji rządowej. Starania Janusza Piechocińskiego, prezesa PSL, wicepremiera i ministra gospodarki, oraz ministra rolnictwa Marka Sawickiego, by do tego nie dopuścić, skończyły się fiaskiem. Spór dotyczył sposobu dotowania obywateli, którzy w przydomowych mikroinstalacjach (panele fotowoltaiczne, miniwiatrak) produkują prąd na własne potrzeby, a nadwyżkę sprzedają do sieci. Są więc jednocześnie producentami i konsumentami (stąd prosumenci).

Rząd chciał, by za swoją energię trafiającą do sieci otrzymywali 80 proc. rynkowej ceny z roku poprzedniego, potem zgodził się na 100 proc. Ostatecznie w Senacie stanęło na 210 proc. Poseł Bramora domagał się innego systemu i dużo większych pieniędzy. Chciał taryfy gwarantowanej przez 15 lat wysokości 0,75 zł za kilowatogodzinę (kWh) dla najmniejszych instalacji (do 3 kW) i nieco niższych stawek (nie mniej niż 0,40 zł/kWh) dla większych (do 10 kW). I dopiął swego.

Nikt nie wie, jakie to będzie miało skutki ekonomiczne, bo w Polsce mamy na razie tylko kilkuset prosumentów (w Niemczech 2 mln). Entuzjaści energetyki obywatelskiej liczą, że czeka nas boom. Polacy, zwłaszcza mieszkańcy wsi, zachęceni wizją pewnych zysków opłacanych z budżetu, zaczną masowo instalować panele solarne na domach. Producenci paneli i firmy instalacyjne już zacierają ręce. Niezadowolone są wielkie państwowe koncerny energetyczne, bo nagły rozwój domowych mikroelektrowni skomplikuje ich działalność i pozbawi części dochodów. Przekonują, że będzie to najdroższa energia na rynku, a na zyski prosumentów złożą się wszyscy obywatele. Nowy system będzie też sprzyjał patologii, bo żaden prosument nie będzie zainteresowany zużyciem własnej energii, mogąc ją sprzedać po 0,75 zł/kWh, kiedy w tym samym czasie spółka dystrybucyjna dostarczy mu z sieci prąd za 0,60 zł/kWh. Posłowie stworzyli maszynki do przerabiania zielonego na złote.

Jan Koza



© ADAM GUZ/REPORTER

Wymyślił dr Ogórek

Za każdym razem, kiedy pytamy polityków SLD o Magdalenę Ogórek, odsyłają nas do **Leszka Aleksandraka**. – *To on ją wymyślił i najlepiej z nim w tych sprawach rozmawiać* – mówią. Aleksandrak (rocznik 1958) to ważna postać w Sojuszu, jeden z pięciu zastępców Leszka Millera, wiceprzewodniczący klubu parlamentarnego. Historyk po Uniwersytecie Łódzkim, z dyplomem z organizacji i zarządzania oświatą. Harcmistrz ZHP. Właściwie to on kieruje klubem i zastępuje Millera na sejmowym Konwencie Seniorów. – *Leszek Aleksandrak ma wielki talent organizacyjny, świetnie kieruje pracą ludzi, umie rozdzielać zadania w czasie kampanii* – mówi Krystyna Łybacka, europosłanka z Wielkopolski. Był w PZPR, od 1998 r. przez osiem lat był starostą kaliskim. W Sejmie zasiada dopiero drugą kadencję.

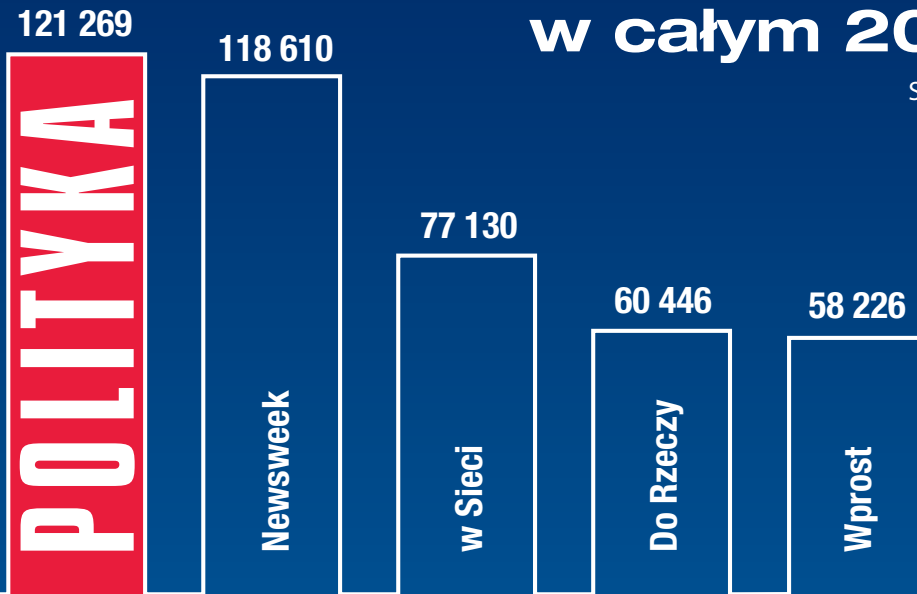
Przez wiele lat był baronem SLD tego regionu. Trzy lata temu zastąpił go Wiesław Szczepański (poseł z czterokadencyjnym stażem), a dziś radny wojewódzki. – *Strukturami w regionie powinna zarządzać osoba, która jest na miejscu. Przekonał się o tym, kiedy w ostatnich wyborach w Wielkopolsce Sojusz stracił aż trzy mandaty* – mówi poseł z tego okręgu. Polityki warszawskiej Aleksandrak uczył się od Marka Siwca, kiedy ten był ministrem w Kancelarii Prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. – *Siwiec to polityk z Wielkopolski. Od zawsze trzymał się z Aleksandrakiem* – mówi Tadeusz Tomaszewski, koniński poseł SLD. To dzięki Aleksandrakowi Siwiec, po romansie z partią Palikota, może wrócić dziś do Sojuszu i walczyć o mandat senatorski w jesiennych wyborach pod sztandarami SLD.

Wpartii mówi się, że Aleksandrak jest zaangażowanym rzecznikiem kobiet. – *Współorganizuje Sejmik Kobiet Lewicy, stawia na kobiety, nie rywalizuje z nami, ale nas wspiera* – mówi Krystyna Łybacka. Na konwencji Magdaleny Ogórek w Ożarowie zorganizował wystąpienie Karoliny Pawliczak, wiceprezydent Kalisza. Ogórek broni, jak może. Na swoim Facebooku pisał po konwencji w Ożarowie: „W przeciwieństwie do tych wszystkich mądrali, którzy krytykują jej wystąpienie, ja wsłuchałem się uważnie w słowa dr Ogórek. I znów utwierdziła mnie w przekonaniu, że dokonaliśmy trafnego wyboru”. Jeśli wynik Ogórek w wyborach prezydenckich nie skompromituje Sojuszu, to akcje Aleksandraka będą rosnać. Ale jeśli pograży partię, to nie będzie już miał tak wiele do powiedzenia jak dziś. (DAB.)

POLITYKA nr 1 wśród tygodników opinii

Najwyższa sprzedaż w całym 2014 r.

Szczegóły s. 103



Najwyższa średnia sprzedaż jednego wydania



Najwyższa sprzedaż egzemplarzowa wydań drukowanych

Najwyższa sprzedaż e-wydań i mutacji cyfrowych



© BOBBY YIP/REUTERS/ORBUM

Rok beee

Jeśli wierzyć przesądom, ten nowy rok księżycowy raczej nie przypadnie Chińczykom do gustu. Nawet dokładnie nie wiadomo, jaki mu towarzyszy znak. 羊, yang, oznacza tyle co „zwierzę z rogami”; badacze przeszłości skłaniają się ku kozie, współczesna kultura masowa woli owcę, sympatyczną, miękką i włochatą. Urodzeni w tym roku są, owszem, mili i łagodni, są wiernymi kompanami, mają inklinacje artystyczne i rys romantyczny. Ale brak im zdolności przywódczych, parcia do władzy, bitności, nie są obrotni ani nie mają smykałki do handlu. Słowem nie stanowią dobrego materiału na współczesnego przebojowego Chińczyka. Nie jest to jednak wystarczający powód, aby noworoczne obchody były mniej huczne. Dwutygodniowym uroczystościom towarzyszy 3,6 mld (!) podróży. To dla rzeszy pracowników, szukających szans daleko od domu, często jedyna w roku okazja, aby odwiedzić rodzinne strony i spotkać najbliższych. W zeszłym roku chińscy konsumenci wydali z tej okazji, przeliczając, 100 mld dol., dwa razy więcej niż Amerykanie na swoje Święto Dziękczynienia. A czterogodzinną noworoczną galę telewizyjną oglądało 814 mln widzów (tylko inauguracja olimpiady w Pekinie miała więcej: 984 mln widzów). Gala to coś na poważnie, patriotycznie, i dużo na wesoło. W tym roku biczem satyry chłostano głównie korupcję.

Jest jeszcze jeden rekord do pobicia: w 2014 r. w ciągu dwóch godzin poprzedzających nowy rok wysyłano co minuta 10 mln wiadomości w serwisie społecznościowym WeChat, który ma już pół miliarda użytkowników. Również obyczaj *hong bao*, obdarowywania się na szczęście czerwonymi kopertami z pieniędzmi, przejmowany także przez pracodawców, w dużym stopniu przeniósł się do internetu. W tym roku w 138 miastach zakazano całkowicie petard i ogni sztucznych, odganiających złe duchy na cały rok, a w 536 wprowadzono rozmaite obostrzenia, wszystko w ramach (przegrywanej) walki z zanieczyszczeniem powietrza. Stosowną kampanię edukacyjno-wychowawczą prowadziły też media. Ale z pierwszych meldunków wynika, że nie na wiele się to zdało.

Zapamiętajcie Riverę

Wśród nowych twarzy europejskiej polityki tę z pewnością należy przyswoić: **Albert Rivera**, 36-letni prawnik, stoi na czele partii C's, czyli Ciudadanos (Obywatele). Może ona przeorać hiszpańską scenę. Obywatele powstał na fali zniesmaczenia polityką i klasą polityczną – i w 2006 r. wystartowali po raz pierwszy w wyborach lokalnych w Katalonii, pozując na plakatach na golasa, co miało być aluzją, że korupcja ich nie dotyczy (w przeciwieństwie do innych polityków). Dziś są partią ogólnohiszpańską, mają 13,5 proc. poparcia, od stycznia przybyło im 8 proc. Już dziś widać, że w tegorocznych



© EFE/PAP

Nigeria się broni

Osiem lat, nie więcej, miała dziewczynka, która wysadziła się przed targiem z telefonami komórkowymi w miejscowości Potiskum na północy Nigerii. Nie pozwoliła przeszukać się strażnikom pilnującym wejścia i podczas sprzeczki odpaliła ładunek. Oprócz zamachowczynie zginęło 5 osób, 19 zostało rannych. Miesiąc wcześniej na tym samym targu telefonów równolegle swoje bomby odpalili dwie kilkunastoletki. Do tamtego ataku przyznali się dżihadysty z Boko Haram. Atak ośmiolatki też jest im przypisywany i ma być kolejnym dowodem na to, że – mimo ofensywy armii nigeryjskiej – Boko Haram zachowuje zdolność do prowadzenia kampanii terroru. Tymczasem Nigeria daje sobie jeszcze tylko cztery tygodnie na odbicie samozwańczego kalifatu ustanowionego na północnym-wschodzie kraju. Wspólnie z sąsiednimi Kamerunem i Czadem oraz na podstawie informacji wywiadowczych otrzymanych od wpływowej w Afryce Zachodniej Francji bombarduje bazy i obozy szkoleniowe powstańców. Odbiła ruiny miasteczka Baga, całkowicie spacyfikowane przez islamistów w styczniu. Wygląda też na to, że Boko Haram, które dotychczas niepodzielnie kontrolowało swój kalifat, w którym narzuciło radykalną odmianę szariat i doprowadziło do fali uchodźców oraz śmierci kilkunastu tysięcy ludzi, wreszcie traci poparcie społeczne, kluczowe dla każdej siły partyzanckiej.

Czas nagli, bo najludniejsze państwo Afryki i pierwszą gospodarkę kontynentu czeka przełożony z połowy lutego maraton wyborczy. Na przełomie marca i kwietnia Nigeryjczycy wybiorą prezydenta, członków parlamentu i gubernatorów. Pójdą do urn, o ile armia – po sześciu latach niepewności – skutecznie zepchnie Boko Haram do narożnika.

wyborach parlamentarnych mogą być jednym z głównych graczy, rozbijając dotychczasowy tradycyjny duopol Socjalistów i Partii Ludowej.

Podobnie jak przodujący w sondażach inny nowy gracz, Podemos, C's jest antyestablishmentowa i obwinia stary system o całe zło. Ale jest łatwiejsza do zaakceptowania przez tych, których odpycha radykalizm i lewactwo Podemos.

Rivera chodzi pod krawatem, jest zwolennikiem liberalnej gospodarki, nie warczy tak bardzo na Brukselę i na euro, opowiada się za pozostaniem Katalonii w Hiszpanii i nie chce, jak to proponuje Podemos, aby króla wyłaniać w wyborach powszechnych. A poza tym ma charyzmę i tytuł mistrza juniorów w pływaniu oraz urodę i świeżość. Czego chcieć więcej?

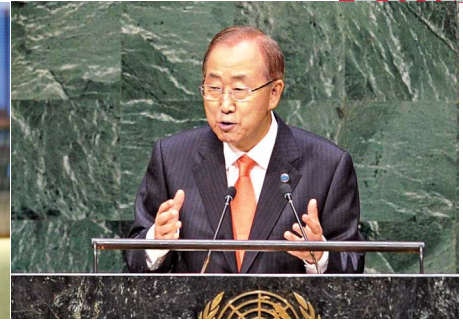
Konkurs na szefa ONZ

Choć nowy sekretarz generalny ONZ będzie znany dopiero za dwa lata, kampania niektórych kandydatów ruszyła już teraz. Tradycyjnie lista następców **Ban Ki-moona** składa się głównie z doświadczonych polityków i dyplomatów – wymieniani są m.in. były szef Komisji Europejskiej José Manuel Barroso, urzędująca prezydent Brazylii Dilma Rousseff i ekspremier Włoch Romano Prodi. Ta trójka może mieć jednak problem z uzyskaniem poparcia nawet własnych krajów. Dlatego na faworytkę wyrasta bułgarska szefowa UNESCO **Irina Bokova**. Szczególnie że w ramach regionalnej rotacji teraz pora na szefa ONZ z Europy Wschodniej.

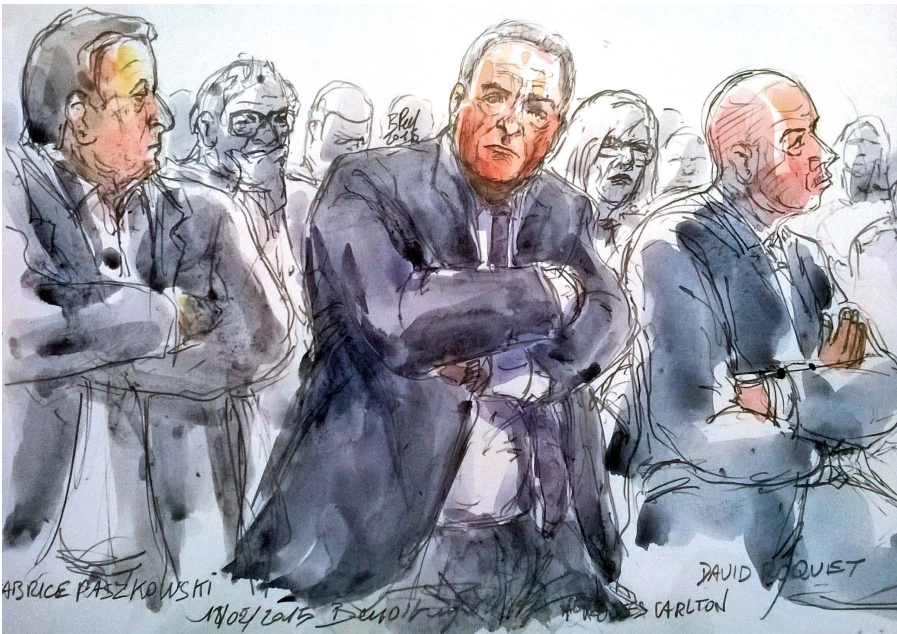


© EAST NEWS(2)

Wszystko może jednak pokrzyżować kampania „1 na 7 miliardów”, prowadzona przez szereg organizacji pozarządowych, m.in. niemiecką Fundację im. Friedricha Eberta. Ma przekonać światowych liderów do wyłonienia nowego szefa ONZ w drodze publicznego konkursu. Kandydaci mieliby najpierw składać aplikacje wraz



z CV opublikowanym w internecie, a w dalszej fazie przejść szereg otwartych przesłuchań, podczas których przedstawiciele krajów członkowskich mogliby zadawać im pytania. Tu wyłania się główny kłopot: dotychczas kandydat na szefa ONZ nie mógł mieć żadnych poglądów, przynajmniej publicznie. Dlatego zostawał szefem ONZ.



© AP/EAST NEWS

Obrona DSK piętnuje podglądaczy

Pod dwutygodniowym procesie sąd karny w Lille odroczył aż do czerwca wydanie wyroku w procesie 14 oskarżonych o stręczycielstwo, z których uwagę publiczności przyciągał jedynie **Dominique Strauss-Kahn**, upadła gwiazda francuskiej polityki, były dyrektor Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Można się spodziewać, że DSK zostanie uniewinniony, gdyż ostatecznie zeznające w sprawie prostytutki wycofały powództwo cywilne przeciw oskarżonemu, co skłania do przypuszczeń, że, podobnie jak wcześniej w Nowym Jorku, doszło do jakiejś ugody pozasądowej. DSK bronił kwiat francuskiej palestry. Proces – według obrony – przekształcił 60 mln Francuzów w podglądaczy, a postać Dominique'a Strauss-Kahna zredukował do samej aktywności seksualnej. Dostało się też prasie za rozdmuchanie sprawy. Otóż DSK domagał się, by jego przyjaciel Fabrice Paskowski przyjeżdżał na orgietkę „z materiałem”, jak określano libertyńskie damy. Ten niefortunny zwrot miał być w jego esemesach użyty tylko raz; tymczasem w internecie pojawił się razem z nazwiskiem DSK w pół milionie odsłon.

Czy w razie wyroku uniewinniającego DSK ma szansę na powrót do polityki? Mało prawdopodobne ze względu na krążące opinie, że oba postępowania, w Nowym Jorku i w Lille, ujawniły, iż potężni i majątni są poza zasięgiem wymiaru sprawiedliwości. Wśród głosów niechętnych oskarżonemu były też kpiny, iż sławny ekonomista zupełnie nie zna realiów życia ekonomicznego, skoro tłumaczył się nieświadomością, że kobiety na libertyńskich wieczorach nie były gratis.

Gorąco w Łatgalii

Rosyjska propaganda coraz częściej oskarża państwa bałtyckie o złe traktowanie tamtejszych Rosjan. Ale zdaniem Aleksandra Gapanienki, lidera mniejszości rosyjskiej na Łotwie, źle wiedzie się również społeczności Łatgalów. W odróżnieniu od protestanckich Łotyszy są oni z reguły katolikami i w liczbie 150–200 tys. zamieszkują Łatgalię, malowniczą krainę na wschodzie kraju, obejmującą dawne województwo inflanckie I Rzeczypospolitej. W regionie tym mieszka też ponad 20 tys. Polaków lub osób pochodzenia polskiego oraz przynajmniej 130 tys. Rosjan, zarówno zasiedziały, jak i nowo przybyłych w czasach sowieckich. Niezamożna Łatgalia ma tradycję odrębności, głosowała przeciw wejściu do UE, a wielu z miejscowych Rosjan i Polaków nie ma szans na zdobycie łotewskiego obywatelstwa, zachowując więc status bezpaństwowców. Zdaniem Gapanienki Łatgalowie są zastraszeni i nie mogą się nawet uczyć we własnym języku, mimo że łotewskie obywatelstwo posiadają.

Zodsięca Łatgalii przyszli internauci i zawiesili w sieci mapę Łatgalskiej Republiki Ludowej. Wirtualny twór – powstały z połączenia Łatgalii oraz części Semigalii i w domyśle zmierzający do zjednoczenia z Rosją – odpycha Łotwę od Białorusi, a Litwie daje perspektywę granicy z Rosją z dwóch stron. Gapanienka lansuje tezę, że mapę narysowały służby specjalne Łotwy, by ją trzymać w spokojnym regionie. Natomiast łotewskie siły bezpieczeństwa wszczęły śledztwo, widząc w mapie groźny produkt propagandy rosyjskiej i przygotowanie w Łatgalii gruntu pod powtórkę scenariusza krymsko-donbaskiego.

Życie bez Donbasu



© REUTERS/FORUM

Wojna wydaje się nie do wygrania. Czy Ukraina powinna się pogodzić z utratą Doniecka i Ługańska? Czy warto umierać za Donbas?

Okolice Doniecka
– zniszczony pomnik bohaterów drugiej wojny światowej

JAGIENKA WILCZAK

Podczas obchodów pierwszej rocznicy czarnego czwartku na Majdanie, dnia bohaterów Niebiańskiej Sotni, prezydent Poroszenko obiecał, że Ukraina będzie walczyć aż do zwycięstwa, że krew obrońców Majdanu nie została przelana na próżno. Walczyli przeciw całej Ukrainie – z Donieckiem, Ługańskiem, Debalcewem i Mariupolem.

Zajęta przez separatystów część obwodów donieckiego i ługańskiego to 7 proc. powierzchni kraju. Ale to także tereny najsilniej uprzemysłowione i zurbanizowane. W obwodzie donieckim, według spisu, mieszkało ok. 4,5 mln mieszkańców, w ługańskim – 2 mln. Na kontrolowanym przez separatystów obszarze mieszka nadal ok. 2 mln osób, choć to rachunki nieprecyzyjne. Jak informuje ONZ – z Donbasu uciekło już 1,5 mln mieszkańców. Ci, którzy pozostają, zwykle nie mają dokąd uciec, a tu przynajmniej jest dom. Póki nie zostanie zburzony. Na nieokupowanym terytorium obu obwodów mieszka wciąż ok. 3 mln obywateli.

Donbas (Donieckie Zagłębie Węglowe) nigdy nie był jak Galicja czy środkowa Ukraina, myślał i mówił po rosyjsku, wyznawał prawosławie, na ogół moskiewskiego patriarchatu. Był wielokulturowy, zamieszkiwali go Ukraińcy i etniczni Rosjanie z ukraińskim paszportem. Lubili o sobie mówić: my tutejsi. To ziemia robotnicza, centrum przemysłu ciężkiego, kopalń i hut. 70 tys. fabryk, przemysł hutniczy, maszynowy, chemiczny i zbrojeniowy oraz energetyka. W obwodzie donieckim koncentrowało się 20 proc. potencjału przemysłowego Ukrainy. Donbas zapewniał Ukrainie 70 proc. wydobycia węgla kamiennego i 80 proc. produkcji węgla koksującego. Wytwarzał 20 proc. ukraińskiego PKB i 25 proc. ukraińskiego eksportu.

Zwyczajowo ciążył ku Rosji. A tutejsza gospodarka zawsze była z nią silnie związana, to Rosja była największym odbiorcą miejscowej produkcji metalurgicznej. Ale także technicznie – poprzez

linie energetyczne, gazociągi. Część Zagłębia Donieckiego – Zagłębie Szachtyńskie – leży po rosyjskiej stronie granicy.

W Donbasie wyrosły największe fortuny ukraińskich oligarchów, jego symbolem jest oligarcha Rinat Achmetow, z tytułem najbogatszego Ukraińca i władcy Doniecka, zatrudnia 100 tys. osób. Można powiedzieć nawet, że Donbas rządził: miał tradycyjnie liczną reprezentację w parlamencie i we władzy, decydujące wpływy w Partii Regionów, tutaj mającej swe korzenie. Gdy prezydentem został Wiktor Janukowycz, ludzie z Donbasu – nazywani klanem donieckim – rządzili niepodzielnie, gospodarczo i politycznie. To tutaj zazwyczaj rozstrzygały się wybory parlamentarne i prezydenckie. Dopiero światowy kryzys 2008 r. uderzył w Donbas, zapotrzebowanie na wyroby hutnicze zmalało. Kopalnie i huty, od lat zaniedbane, energochłonne, stawały się coraz mniej rentowne. Rosło bezrobocie, bardziej niż w innych częściach kraju. Donbas wciąż jednak żył w przekonaniu, że utrzymuje całą Ukrainę, że kraj żyje na jego koszt.

Separatystyczne nastroje zawsze były gdzieś w tle, ale ukryte głęboko pod skórą, raczej jako sposób nacisku na władzę. Kiedy w 2004 r. separatyści próbowali się policzyć, okazało się, że ich siła jest mizerna. Podziałem Ukrainy nikt poważnie nie był zainteresowany, a już z pewnością nie oligarchowie. Nawet ci, co sprzyjali Moskwie. Przed rokiem wydawało się, że Majdan wreszcie scementował poczucie jedności, bo w interesie wschodu i zachodu jest demokracja. Badania przekonywały, że Donbas chce na zachód. Separatyści, nawet gdy się pojawiali na placu w Doniecku czy Ługańsku, nie mieli ani programu politycznego, ani powszechnego zachwytu obywateli. Początkowo to była zwykła żulia, bezrobotni, zadymiarze. Z czasem dołączyli najemnicy. Ale także robotnicy i mieszkańcy Donbasu, rosyjskojęzyczni Ukraińcy. A wreszcie kilka tysięcy rosyjskich żołnierzy. Gdyby nie wtrągnięcie Rosji w granice Ukrainy, pomysły separatystów w Donbasie szybko upadłyby, jak w Charkowie czy Dniepropietrowsku.

Ale w Donbasie historia potoczyła się gorzej. 11 maja ub.r. separatyści zorganizowali referendum, obywatele mieli zdecydować o suwerenności obwodów. Głosowanie było komedią, nie spełniało żadnych standardów i nie wiadomo, jaki był prawdziwy wynik. Dzień później podjęto uchwały o suwerenności Republik Ludowych, Donieckiej i Ługańskiej. Kijów nie przeszkodził w przeprowadzeniu referendum. Gorzej, zlekceważył je. Bo powołanie obywateli wydawało się czymś operetkowym. Dziś widać, że to był błąd, nastroje społeczne w Donbasie zaczęły się zmieniać. Nowi przejęli administrację w terenie, rządowa administracja została steryoryzowana i wypchnięta z terenów okupowanych, gubernatorzy także. Pieniądże płynęły z rabowania banków, napadów na konwoje z wypłatami, od popierających oligarchów – głośno mówiło się, że to także pieniądze Wiktora Janukowycza i jego syna – oraz z Rosji.

Separatyści rośli w siłę, dostawali nowoczesną rosyjską broń i poszerzali okupowane terytorium. Ukraińskie wojska rządowe zaczęły przegrywać walkę o Donbas. Próba odzyskania wpływów były rozmowy pokojowe w Mińsku, we wrześniu ub.r. Donbasowi obiecano większą autonomię lokalną, nawet specjalny status, ale w granicach Ukrainy. Odpowiedzią separatystów było nie tylko złamanie umowy o zawieszeniu broni, ale przede wszystkim deklaracja, że na terenie republik nie odbędą się wybory do Rady Najwyższej Ukrainy i ogłoszenie własnych wyborów parlamentarnych w zbuntowanych obwodach. Ich zwycięzcami okazali się dotychczasowi liderzy: Aleksandr Zacharczenko i Ihor Płotnicki. Kijów nie uznał wyborów, nazywając je farsą pod lufami karabinów. A rosyjska Duma zadeklarowała współpracę i uznała nowe władze. Dziś te dwie marionetkowe republiki rządzą się oddzielnie, mają własne armie. Te armie miały się połączyć dzięki zdobyciu Debalcewe i walczyć wspólnie. LNR i DNR nie myślą na razie o połączeniu, każda republika działa w ramach granic obwodu.

Władze w Kijowie pokazały tymczasem prawdę o gospodarce regionu. W 2013 r. dochody obwodu donieckiego wyniosły 16,3 mld hrywien, a wydatki – 41 mld (5 mld dol.). W ługańskim podobnie: dochody 9,4 mld hrywien, a wydatki – ponad 21 mld (2,8 mld dol.). Dotacje to nie tylko żywy pieniądź, to również możliwość korzystania z tańszego gazu, subwencje dla kopalń, dopłaty socjalne, środki na rozwój regionu. I mnóstwo ukrytych przywilejów. Ujawniono, że Donbas prawie nie płacił podatków, stąd jego pozorna konkurencyjność i szybko rosnące fortuny oligarchów. Faktem jest natomiast, że Donbas, będąc najbardziej ludnym regionem Ukrainy, był też jej największym rynkiem zbytu.

Tak było do secesji i wojny. Kiedy stało się jasne, że Kijów faktycznie utracił władzę nad regionem, a porozumienia z Mińska nie zostały dotrzymane, rząd wstrzymał wypłaty socjalne na terenach kontrolowanych przez separatystów. Zawiesił też działalność państwowych instytucji i przedsiębiorstw. Motywacja wydawała się oczywista. Jak mówił premier Arsenij Jaceniuk, Kijów nie zamierza finansować rosyjskich terrorystów. Nie odcięto jednak dostaw gazu i elektryczności dla terenów okupowanych, choć separatyści nie zamierzali za nie płacić. Ale przecież tam mieszkali obywatele Ukrainy; rząd nie mógł ich pozostawić bez ogrzewania u progu zimy. Kijów oszczędzał, a Donbas nawet nie zamierzał.

Rząd ujawnił wielkość subsydiów i dotacji dla okupowanych części obwodów donieckiego i ługańskiego: w 2014 r. było to 19,6 mld hrywien (czyli grubo ponad miliard dolarów) dla DNR i 14,6 mld hrywien dla LNR, czyli prawie kolejny miliard. Podano, że Donbas nie zapłacił do budżetu krajowego należnych podatków w wysokości 6,7 mld hrywien, czyli 450 mln dol. W sytuacji kryzysu, załamania gospodarki i wymogów oszczędzania stawianych przez MFW były to kwoty znaczące. Dalsze subsydiowanie Donbasu oznaczało katastrofę gospodarczą, przybliżało niewypłacalność. Ale kij miał dwa konce: nastroje społeczne w Donbasie jeszcze się pogorszyły, sympatie skierowały w stronę separatystów.

Dziś Donbas jest Ukrainie wrogi. Bez pieniędzy – bieduje i często głoduje. Żyje z zapasów i dzięki pomocy humanitarnej zwłaszcza fundacji Achmetowa, który dogadał się z separatystami i ocalił

swoje największe fabryki (ale nie lotnisko w Doniecku!). Oficjalnie nie poparł secesji, ale też nie pomógł rządowi. Podobno mieszka w Kijowie.

Wojna sieje zniszczenie. Latem mówiło się, że na odbudowę Donbasu potrzeba 20 mld dol. Dziś nawet trudno oszacować skalę wydatków. Są miasta, które trzeba budować od nowa, uruchomienie zalanych kopalń, jeśli w ogóle będzie możliwe, pochłonęłyby kolosalne sumy, przywrócenie do życia przemysłu – kolejne miliardy. Kto je wyłoży? Strat w ludziach nigdy nie da się wymierzyć. Czy Donbas to nie jest po prostu zbędny garb? Każdy dzień wojny kosztuje Ukrainę 5,5 mln dol. Na froncie walczą ochotnicy i słaba ukraińska armia. Codziennie giną ludzie, nawet teraz, po podpisaniu kolejnych porozumień o zawieszeniu broni. Rosja je łamie: w Debalcewe, gdzie nawet na chwilę nie przzerwano ostrzału z ciężkiej broni, poległy dziesiątki ukraińskich żołnierzy.

Mimo że z wujującym Donbasem nie ma co myśleć o NATO czy Unii, kilka miesięcy temu za koniecznością walki aż do zwycięstwa opowiadało się 60 proc. społeczeństwa. Dziś jest to już 80 proc. Może wpływa na te nastroje społeczne niedostatek reform, poczucie, że żyje się ciężko, często trudniej niż przed Majdanem. Z pewnością – świadomość, że kraj poniósł niewyobrazalny wysiłek, tysiące młodych ludzi oddało życie, tysiące zostało kalekami, nigdy nie powrócą do normalnego życia. Dziesiątki tysięcy Ukraińców zaangażowało się w pomoc walczącym, zbiórkę pieniędzy na zakup wyposażenia, opiekę nad rannymi. Ten nastrój solidarności, współpracy, samoorganizacji nie osłabł ani na chwilę. Tu grają emocje. Tak wielka ofiara – uważają – nie może pójść na marne, nikt sobie tego nie wyobraza. Jeśli gwałticiel wtargnie do domu, masz mu ustąpić? – pytają.

Zdesperowany zwierzak w pułapce potrafi odgryźć zatrzaśniętą łapę. Czy Ukraina może się zdobyć na podobny ruch, czy powinna odciąć Donieck, żeby ratować życie reszty kraju? Dziś wydaje się to nierealne. Najbardziej z przyczyn politycznych. Rząd z pewnością obawia się powrotu z frontu żołnierzy i ochotników, ich krew poszłaby na marne. Mimo że szanse na militarne zwycięstwo nie ma, politycy mają poczucie, że rezygnacja z walki może wywołać niepokoje społeczne. Nawet jeśli ktokolwiek uważa, że tak trzeba, nie ośmieli się tego powiedzieć głośno, również opozycja milczy. Oddać Donbas byłoby niepatriotycznie.

Nie ma też żadnych gwarancji, że Putin zatrzyma się na Donbasie. A dlaczego tylko Donieck, a nie Odessa, Charków, Dniepropietrowsk? Dziś można jedynie zamrozić konflikt, odgradzić Donbas, stawiając na granicy z Ukrainą wojska ONZ. W ten sposób prezydent Petro Poroszenko chciałby powstrzymać marsz Rosji, zagrozić drogę Putinowi. Ukraińscy chłopcy już go zatrzymali, teraz świat musi pomóc, żeby nie poszedł dalej. Taka jest logika ukraińskich władz. Jeśli Rosja zostanie zatrzymana, Ukraina zyska czas na budowę państwa. A gdy się wzmacni – znacznie rozmawiać o powrocie Donbasu.

Czy kraj potrafi żyć bez Donieckiego Zagłębia, kopalń, surowców i eksportu? Tu sprawa jest łatwiejsza, niżby się wydawało. Wojna trwa od miesięcy, Kijów nie kontroluje regionu, nie ściąga podatków, nie czerpie zysków z bogactw naturalnych. A jednak kraj funkcjonuje, choć kiedyś wydawało się to nierealne. Nawet antracyt wydobywany w Donbasie, kiedyś wyłączne paliwo w ukraińskich elektrocieplowniach, można zastąpić węglem z RPA. Można rozdzielić sieć energetyczną i gazowniczą, zbudowane w czasach radzieckich, kiedy wszystko było wspólne i nikt nie śmiał pomyśleć, że może być inaczej. Z pewnością Ukraina straci duży rynek zbytu, ale to kwestia szukania innych rozwiązań i zmiany strategii gospodarczej. To musi być suwerenna decyzja Ukraińców. Kiedyś wydawało się, że Serbia nie potrafi żyć bez Kosowa. Dziś okazuje się, że jest odwrotnie. ■

Więcej o sytuacji na Ukrainie słuchaj w środę 25 lutego o godz. 12.00. Zaprasza Przemysław Iwańczyk.

